№ 26 WARSZAWA, DNIA 28 CZERWCA 1913 ROKU ROK III



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

JAN POWALSKI.

W GRODZIE ŻAKÓW.

Ciąg dalszy.

W tej chwili otworzyły się drzwi znowu. Teraz wszedł gość młody, śmiałych i wesołych ruchów, wysoki i pleczysty, z kordem u boku, łańcuchem na piersi.

— To jest ów rotmistrz z Wołoch — rzekł szybko mistrz Paweł Hieronimowi.

Mikołaj tymczasem pytał:

— Jakże tam Wołochy? A o Tatarach nie słychać?

— Cóż mnie wciąż o to jedno każdy pyta? — z wesołem zdumieniem zawołał rotmistrz.—Tak jakbyście wy, dobrodzieje moi, tą jeno wieścią żyli. A tam co? Łowy jeno i łotrzyków tropienie, a potem na zwierza to samo. Bogu dzięki, żem już do domu wrócił.

— A we Lwowie co nowego? — spytał znów Mikołaj.

— Wszędzie zboże pięknie porosło — rzekł rotmistrz.—Lny też widziałem koło Rzeszowa bardzo piękne.

Mówiąc to, siadł ciężko na stołku i odetchnął:

— Haa!... aż mi dziwno, żem już tu. Ale u was księgi nowe są?

I wziąwszy jakąś książkę, obejrzał ją i z zajęciem przeczytał tytuł: „Nauka bardzo użyteczna i potrzebna o puszczaniu

krwie ku zdrowiu człowieczemu, a zwłaszcza ukazanie, której żyły cięcie któremu niedostatkowi pomaga. Przez mistrza Jędrzeja z Kobylina pospólstwu podane roku Bożego 1542".

— Dobrzeby, jeśliby więc na wojnie nieprzyjaciel wedle tej nauki sobie poczynał, drugiemu żyły otwierając. Choć już wolę cyrulikowi się w tem zwierzyć!...

Prawił, oglądając książki i sklep.

Mikołaj zapytał go:

— A długoś jechał, rotmistrzu miły?

— Ho!—rzekł ów zadowolony—zwykle jadąc i popasając i we trzy tygodnieby nie zajechał. Ale, iż mi do dom śpieszno było, tedym we dwa tygodnie tu padł. Jutro będę w domu na południe. Aż mi dziwno.

— Ba! — powiedział Mikołaj, uśmiechając się. — Jest ci tu nowego dość. Królowi sądów nie chcą pozwolić, iż Barbarę ową pojął za żonę. Ten i ów do sądów ziemskich nie staje, mówiąc, iż królewskie sądy nieważne są, aż sejm ich królowi dozwoli.

— Co mówicie! — zdumiał się gość. — Tak-li to teraz?

— A z którego teraz pogranicza jedziesz? — spytał mistrz Paweł, zbliżając się.

Hieronim nadstawił uszu.

— Z wołoskiego — rzekł ów. — Służyłem tam rotmistrzem przy panu Sieniawskim. Jeno że teraz cicho. Tu widzę większy rozruch od domowego niepokoju, niżeli tam od wroga.

Paweł spojrzał na Hieronima: przypomniał sobie imię żołnierza, o którego miał się dowiedzieć, i spytał:

— Nie znałeś-li tam szlachcica jednego, Andrzeja...

— Niewiarowskiego... —podszepnął mu Hieronim.

— Andrzeja Niewiarowskiego?—dokończył Paweł.

— Niewiarowskiego? — powtórzył ów, namyślając się — czekaj... A jakże! — zawołał nagle — jegobym nie znał!

Drzwi od ulicy, przywarte lekko, odsunęły się powoli i wszedł ksiądz pulchny, okrągłej i jednostajnie rumianej twarzy. Brwi miał ściągnięte i nachmurzone, a spojrzenie oczu lękliwe i wahające się. Usta nadąsane i ruchy niepewne, ale ostrożne.

— Niewiarowskiegobym nie znał!—wołał tymczasem rotmistrz. — Jakże! Mało czasu razemeśmy przy panach Sieniawskich służyli!

— O kim mówicie?—spytał nowoprzybyły, przechylając głowę.—O Niewiarowskim, zda mi się? Czy nie Andrzeju?

— Jednego jeno znam, a temu Andrzej — odrzekł żołnierz, prostując się i oglądając księdza.

Ksiądz tymczasem powoli przywitał się z Mikołajem, z mistrzem Pawłem i rzucił spojrzenie w stronę Hieronima. Było już ciemnawo i niewiele widać. Ale Hieronim, patrząc na niego, coś sobie przypominał niewyraźnie.

— Siadaj, jegomość — zapraszał Mikołaj. — Oto księga, której chciałeś. Szukałem wszędzie, wiedziałem, że była, kiedyśmy inwentarz robili z braćmi w zimie tego roku. Zasunęła mi się jeno między insze papierzyska.

Kanonik, słuchając, kiwał głową i obracał w ręku cienką a dużą książkę in quarto.

— Cóż tedy o Andrzeju mówiliście? — spytał młodego żołnierza, gdy Mikołaj skończył mówić.

— Dobry to żołnierz i towarzysz — rzekł rotmistrz.—Zeszłego roku razemeśmy na Wołoszę chodzili na dziki polować. Srogie tam są knury, stare i opasłe, jakich u nas ani uświadczy, na wołoskiej żołędzi utuczone.

— Spokojne tam teraz wszystko — py-

— kanonik—gdy się rycerstwo w łowach ćwiczy?

Hieronim najwięcej znajomego czuł w głosie księdza. Łamał sobie głowę, gdzie on go mógł widzieć i kiedy?

— Spokojnie! — rzekł żołnierz. — Aleć tak twarde to życie obozowe i zawsze trza się trzymać w pogotowiu.

— Dobrą szkołę przejdzie, bo do pana Pretwica na Ukrainę poszedł—rzekł żołnierz.

Hieronim nic nie słuchał, co mówił rotmistrz. Patrzył tylko bez ruchu na swego wuja, kanonika Zieleńskiego. Przypomniał sobie, jak go widział w domu, mając lat siedem czy osiem. Miał nadzieję, że kanonik go nie pozna. Ale nuż?



.... Kanonik, poruszywszy się na krześle, rzekł...

— Gdzieżeś, panie, Andrzeja zostawił?— spytał kanonik po chwili. — Do dom nie wraca?

— Nie jeszcze — rzekł tamten.

— Czasby mu był — powiedział kanonik. — Ma braci... Trudno tam u nich idzie... I żenićby się mu pora...

— Mówił mi—rzekł żołnierz—że braci ma, aleć się do dom nic nie śpieszył. Znać go jednak musisz, księże, iż się oń tak pytasz?

Kanonik westchnął, opuścił głowę na ramię. Potem odpowiedział:

— To mój siostrzeniec...

— Nie żałuj, księże, że nie wraca. Do-

— To i cóż? — myślał. — Trzeba się uczyć. Muszę się uczyć prawa i łaciny, jak przystoi. Ale jaką karąby mnie teraz pokarali, gdyby złowili?

Kanonik, poruszywszy się na krześle, rzekł:

— Zamiast tam zające gonić, raczejby się tutaj przydał. Osądźcie sami: brata jego młodszego z domu na naukę wysłać się zbierano; aliści co czyni niecnota? Rzuca dom ze swawolniki, co pod tę porę we dworze u nich nocowali, i jak zbiegł, tak i dotąd biega. Średni siostrzeniec mój w liście mi o tem pisze. Pa-

chołkowie też, których za nim ścigać posłał, z niczem tu przybyli.

Słuchając tego, Hieronim siedział, jak mysz pod miotłą, od pierwszych słów. Ani drgnął.

Tylko na chwilę spotkał się spojrzeniem z oczami mistrza Pawła: zobaczył, że on zrozumiał i że wie, kim jest jego gość, Hieronim. Ale nikt się nie odzywał, ani mistrz Paweł, ani Mikołaj.

Kanonik, zabrawszy książkę, wyszedł razem z żołnierzem.

Mistrz Paweł powiedział do Hieronima, gdy Mikołaj zamykał sklep od ulicy, a czeladnik przyszedł ze światłem:

— Tedy brat twój przy panu Pretwicu na Ukrainie być powinien.

— Rozmyśliłem się—rzekł Hieronim.— Zostanę w Krakowie.

— U wuja?—spytał mistrz Paweł.

— Nie. Między żakami. Będę się uczył.

— To dobrze — rzekł mistrz Paweł. — Przyjdź do nas, gdy ci trzeba będzie; drzwi masz zawsze otwarte.

D. c. n.

PURPUROWE PŁOMIENIE.

OPOWIADANIE PRAWDZIWE

przez J. P.

Ciąg dalszy

— To musiała być djabelnie ciężka praca! rzekł Higginson, kiedy mu młody majtek opowiedział swoje przygody. – Fale Missisipi nie pozwalają tak łatwo płynąć pod wodę do brzegu. Musicie mieć stalowe muskuły, że wam się udało to przedsięwzięcie. Jakim jednak sposobem dostaliście się na pokład holownika węgla? Kto wam polecił udać się na ulicę Levee?

— Zaufany służący pana Jacka West, Dan Daniel Filip Cuellar.

Sternik roześmiał się krótko.

— Ten dumny Meksykanin! All right, panie Molski! Sprawa zaczyna się wyjaśniać.

— Jakto?—spytał Robert zdziwiony.

— Odpowiem wam kiedy wolną chwilą— odparł Higginson.—Muszę teraz dopatrzeć, żeby moi chłopcy prędko dokończyli czyszczenia „Wolności”.

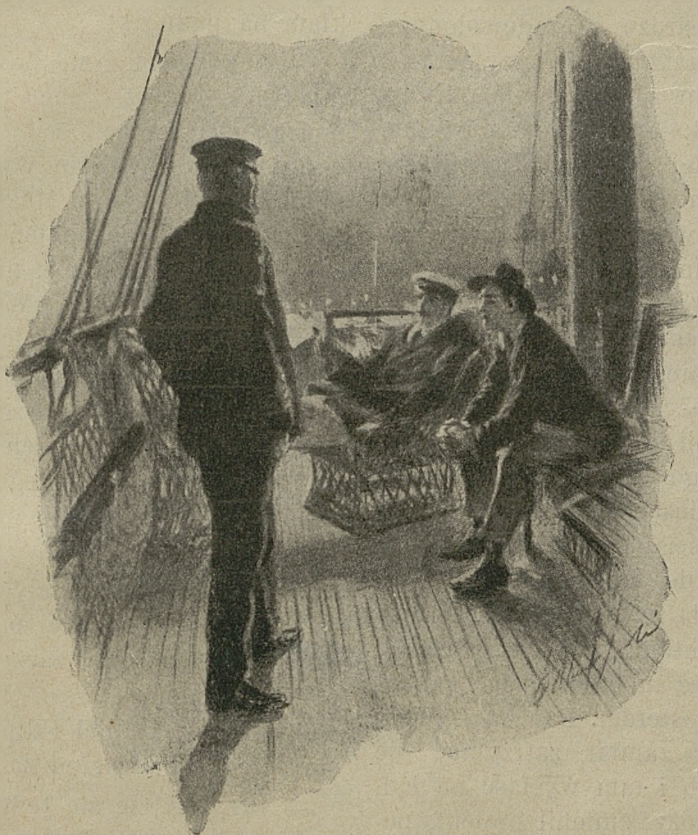
Wkrótce pan Jack West przybył na pokład. W kwadrans później zgrabny jacht „Wolność” biegł pełną parą i sterował w kierunku Jukatanu, aby potem przez morze Karaibskie wypłynąć na pełny Atlantyk. Następnego dnia wyminięto

małe Antylle, wyspę Trynidad i skierowano się na południe, aby opłynąć przylądek Horn.

Im więcej zbliżano się do zwrotnika, tem bardziej zaczynał dokuczać upał. Pan Jack West rozkazał wynieść na pokład kilka wygodnych trzcinowych leżaków, na których wyciągnięty palił swe wonne Havanna i popijał mocną czarną kawę.

— Bob! — zawołał pewnego dnia — siadaj tu przy mnie. Opowiedz mi co o swojej ojczyźnie. Posiadasz daleko wyższe wykształcenie, niż przeciętny marynarz, a ja lubię na statku lekką pogawędkę.

Robert zajął swobodnie miejsce na ławce okrętowej, stojącej w pobliżu pana West; kapitan Law też podszedł ku nim, aby skorzystać z opowiadania młodego Polaka. Samuel Law spostrzegł od pierwszego dnia, że pan Jack West obdarzał Roberta szczególną sympatją i przeznaczał go do zajęcia wyższego stanowiska, niż prostego majtka.



.... Nagle Robert zauważył, że Dan krąży w pewnej odległości...

Rozmowa przeszła po pewnym przeciągu czasu na cel podróży. Miljoner objaśniał w krótkich zarysach, jakie wyspy zamierza zwiedzić, następnie zapytał, czy Robert czuje się na siłach wziąć udział w tem wielkiem przedsięwzięciu, mającem cele naukowe.

— Wy, Polacy — rzekł Jack West —

posiadacie wszędzie przeciętnie normalne wykształcenie, które do wszystkiego przydać się może.

Nagle Robert zauważył, że Dan krąży w pewnej odległości i przypatruje się rozmawiającym swemi świdrującemi oczami. Zdawał się być bardzo niezadowolonym, że pan Jack West znajduje przyjemność w rozmowie z nim, a jego, Daniela Filipa Cuellar, nie zachęca ani jednem słówkiem do wzięcia w niej udziału. Zwrócił się przeto do załogi jachtu, aby tam rozmowę zawiązać, nie zauważył jednak, jak sternik Higginson pilnie go obserwował.

Podczas przepływania przez równik panowała cisza morska i słońce paliło cały dzień niemiłosiernie. Ludzie z załogi nie mogli sobie miejsca znaleźć i wszyscy z radością powitali silny podmuch południowo-wschodniego wiatru, który zaczął dąć pomiędzy dziesiątym a dwudziestym stopniem szerokości geograficznej na linji Pernambuco-Rio de Janeiro

„Wolność” była wspaniale i wzorowo zbudowanym jachtem: jej ostry dziób przecinał fale bez uchylenia na cal od linji, wyznaczonej sterem. Pan Jack West miał początkowo zamiar zatrzymać się w Rio de Janeiro i tam wysiąść na ląd, ale w ciągu podróży zmienił projekt, ponieważ zapas węgla był jeszcze dostateczny. Pierwszy postój był naznaczony w Buenos Aires.

Na drugi dzień południowo-wschodni wiatr zwiększył się jeszcze i wielkie bałwany przelewały się przez pokład, tak że niepodobna było wyjrzeć z kajut.

Don Daniel Filip Cuellar nie był stworzony na marynarza: leżał, jęcząc, w swojej kajucie, nie mogąc nic przełknąć. Molski, który miał z natury dobre serce, a który przy najsilniejszej burzy nie cierpiał na chorobę morską, zaglądał kilkakrotnie do niego, chcąc mu pomódz. Pomimo jednak strasznych cierpień, targających wnętrzności, Meksykanin zrywał się z posłania za każdym razem, gdy Robert zbliżał się do jego kajuty.

— Ja nie jestem chory! to tylko chwilowe niedomaganie! — powtarzał, usiłując powstać, opadał jednak natychmiast z jękiem na poduszki.

— Niech pan mnie posłucha — mówił młody marynarz — chcę panu dopomódz w jego cierpieniach.

Jadowite spojrzenie wypełzło z napół przymkniętych oczu Meksykanina, twarz zaś jego przybrała odcień woskowy.

— Ja nic nie chcę, nie chcę widzieć nikogo! Niech się „Wolność” rozleci w drobne kawałki! Palcem nie kiwnę, żeby ją ratować! — wołał ze złością.

— Miły towarzysz! — zamruczał Robert, wchodząc po wązkich schodkach do salonu okrętowego — na tego człowieka nie można liczyć w chwili ciężkiej potrzeby lub niebezpieczeństwa.

Wreszcie fale przestały miotać jachtem, po dwudniowej cichej podróży wypłynął pokojne morze i zaczęli się zbliżać do portu w Buenos Aires. Wtedy zjawił się na pokładzie Daniel Filip Cuellar i począł się przechwalać przed załogą.

— Przyjrzyjcie się temu osobnikowi — rzekł sternik do Roberta — czy jest na świecie większy pyszałek, niż ten Meksykanin! On mi już oddawna jest solą w oku. Nienawidzę go, gdyż podczas każdej podróży stara się siać niezgodę na jachcie. Cieszy mnie to niewymownie, że pan go odsunąłeś od pana Westa. On panu tego co prawda nigdy nie daruje, miej się więc na ostrożności. Już od początku podróży zauważyłem, jak on z pana nie spuszcza swego zawistnego wzroku.

Młody marynarz roześmiał się.

— Dziękuję wam, panie Higginson, za przestrogę, ale nie lękam się tego dumnego Meksykanina. Kto idzie prosto i o-

twarcie swoją drogą, ten nie potrzebuje bać się nikogo.

— Ma pan rację, panie Molski —odrzekł szczery i otwarty Higginson—ale na takie pełzające zło, — proste i prawe postępowanie nie ma żadnego wpływu.

Z temi słowami podszedł do koła sterowego i zakręcił niem silnie, aby wjechać prosto do portu w Buenos Aires.

Gdy „Wolność" zarzuciła kotwicę przy nowem wybrzeżu Buenos Aires, aby odnowić zapas węgla, pan Jack West udał się na ląd z Robertem. Dan otrzymał rozkaz poczynienia przeróżnych zakupów.

— On zna się na tem bardzo dobrze — rzekł pan West do młodego marynarza— przepłaca wszystko nieco drożej, ale ostatecznie nie biorę mu tego za złe.

Roberta oczarowało położenie miasta, otoczonego wspaniałymi ogrodami i pięknemi willami prywatnemi.

Gaje oliwne i brzoskwiniowe okolone były kaktusami i agawami. W godzinę przyjechali koleją do Tigry; jest to miejscowość bardzo pięknie położona, posiadająca bogatą roślinność i stanowiąca jedno z najciekawszych miejsc wycieczkowych. Można było odrazu zauważyć w Buenos Aires, że Stany argentyńskie znajdowały się w największym rozkwicie swego handlu i przemysłu. Tłumy cisnęły się na głównych ulicach i na wielkich placach, najwięcej na placu Del Mayo, którego olbrzymi czworobok był okolony podwójnym rzędem potężnych palm.

W porcie spotkali powracającego Meksykanina; poczynił on już zakupy na długą czekającą ich podróż.

— Czy dobrze wszystko załatwiłeś, Danie? — rzekł do niego Jack West przyjacielskim tonem — ponieważ musimy zatrzymać się jeszcze dzień jeden, aby zrobić zapas węgla, pozwalam ci więc zwiedzić miasto.

Dan skłonił się w milczeniu, ale widać było, że ze złością przyjął to upokorzenie wobec Roberta.

— Dziękuję, panie — rzekł z chłodną uprzejmością, — skorzystam jednak z tego pozwolenia, tylko służąc panu.

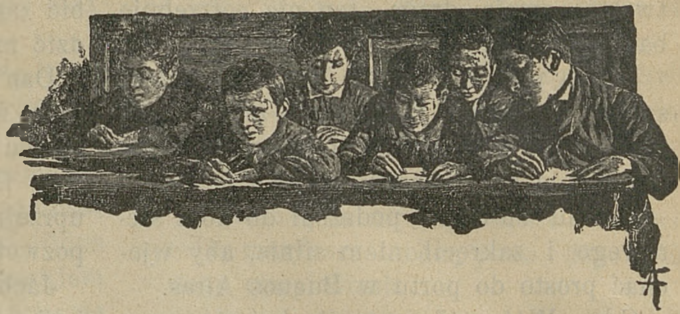
Jacht pruł w dalszym ciągu fale oceanu i kierował się ku przylądkowi Horn przez piętnasty stopień szerokości gieograficznej. Minąwszy go szczęśliwie, dał się unosić do swojego celu potężnym falom Oceanu Spokojnego w kierunku północno-wschodnim. Coraz bardziej oddalano się od wschodniego wybrzeża Ameryki Południowej; i kapitan Law oszczędzał ogromnie węgla, aby go nie zabrakło podczas tej długiej podróży. Jacht posiadał tylko jeden maszt. Przy sprzyjającej pogodzie „Wolność" rozpuszczała swe śnieżno-białe żagle i jak ptak mknęła z wiatrem.

(D. c. n.).

Wystawa ceramiki i szkła.

Dnia 19-go Czerwca r. b. została otwarta, wobec zaproszonych przedstawicieli nauki, sztuki, literatury i prasy, na Starem Mieście w domu Baryczków wystawa ceramiki i szkła polskiego, urządzona staraniem Tow. Opieki nad zabytkami przeszłości.

Przez pięknie udekorowane stylowe świetlice starodawnej siedziby patrycjuszów staromiejskich przewinęło się grono zaproszonych przez komitet gości i miłośników sztuki i drogich nam pamiątek, którzy podziwiali z trudem i pietyzmem zebrane okazy ceramiczne z dawnych, nie istniejących fabryk polskich, chętnie udzielone przez właścicieli zbiorów prywatnych. Tradycja zeszłorocznej wystawy minjatur wróży wystawie ceramicznej trwałe powodzenie.



Marja Buyno.

KOLEDZY.

Ciąg dalszy.

— Znów po ósmej panicz wraca!?

— Byłem zajęty.

— O, zajęty. Co to za zajęcie poza domem? Nie wiem, coby to pan na to powiedział!—Kolację podać?

— Dziękuję! Nie jestem głodny!

— A toć istne skaranie Boże! Obiad ledwie tknięty, kolacja nie. Niech-no panicz przejrzy się w lustrze, jak wygląda. Pan się przestraszy, jak panicza zobaczy!

Zygmunt schronił się do swego pokoju przed gderaniem, ale Agnieszka poszła za nim:

— Doktór tu był niedawno! — mówiła, stając w progu.

— Doktór?! — powtórzył Zygmunt, a na twarzy jego znać było przerażenie.

— A tak, doktór Ksawery. Kochany, dobry pan Ksawery! Wypytywał o panicza. O, o! Bardzo się dziwił, że panicza w domu nie było.

— Tak się nieszczęśliwie złożyło, że dziś właśnie wyszedłem...

— A tak! Dziś właśnie... A codziennie niby inaczej bywa... Zresztą co mi do tego! Niech tam panicz robi, co chce! Jak pan przyjedzie, okaże się dopiero, czy wszystko było tak, jak być powinno!

— Moja Agnieszko, przepraszam bardzo, ale mam dużo lekcji. Muszę się uczyć!

— Aha, to znaczy, żebym sobie poszła. Dobrze, niech i tak będzie! Zaraz pójdę, jeno powtórzę, co mi kazano powiedzieć: doktór Ksawery prosił, żeby panicz do niego przyszedł...

— Naturalnie, pójdę zaraz jutro! Dziękuję wam, Agnieszko!

— Paniczku!

— A co tam jeszcze?

— Paniczku! Niech tam paniczek sobie wraca, kiedy chce i chodzi, gdzie chce. Mnie nic do tego! Może zresztą nie rozumiem się na tych sprawach. Ale, paniczu, jeść trzeba! Toć panicz tak jakby nic nie jadł przez dzień cały. Jakże to można! Wysiedzieć się w szkole, wybiegać po mieście i nic nie jeść!

— Kiedy mi się nie chce!

— Co to nie chce! Niech panicz popróbuje! Zrobiłam na kolację doskonałe pierożki, te, co to panicz tak lubi!

Nie chcąc robić przykrości Agnieszce odmową i rozdrażniać ją jeszcze bardziej, Zygmunt zasiadł do kolacji i przełknął z trudem parę pierożków, poczem wrócił pośpiesznie do swego pokoju i wziął się do pracy.

Pomimo widocznego zmęczenia, był dziś zadowolony. Rozłożył przed sobą parę arkuszy papieru i zaczął przepisywać: była to robota, którą dziś wreszcie dostał, po długich, uciążliwych staraniach! Robota płatna! Przez kilka wieczorów będzie mógł zarobić kilka rubli! Ach, gdyby tak więcej jeszcze dostał pracy, możeby mu się udało...

Na tę myśl serce chłopca zabiło silniej:

tak bardzo tęsknił za swemi książkami, tak mu ich brakowało! Gdy wchodził do swego miłego, zacisznego pokoiku i spojrzał na pustą bibljoteczkę, serce ściskało mu się boleśnie, a jednocześnie w głowie powstawały myśli, którym obronić się nie mógł. Coś mu mówiło, że jednak czyn jego nie był zupełnie na miejscu. Tłumaczył sobie wówczas, że przecież wolno mu rozporządzać swoją własnością, a jednak coś go niepokoiło i dręczyło.

Może teraz, gdy będzie zarabiał, uda mu się odkupić chociaż częściowo swoją własność. Interesy poprawiły się nieco w ostatnich czasach. Michaś był już zaopatrzony w cieplejszą odzież, pani Strzemboszowa miała parę lekcji, Franciszka rzadko kiedy uskarżała się na brak pieniędzy. Więc może część zarobionych pieniędzy poświęci na kupno swoich książek.

Zabrał się gorączkowo do roboty. Pisał ładnie, czytelnie i szybko. Arkusze zapełniały się równemi, czystemi literami, a Zygmunta przejmowała wielka radość. Nie czuł najmniejszego zmęczenia...

— Gdy pierwszy obstalunek wykonam szybko i porządnie, otrzymam niezawodnie nowy! Cóż z tego, że posiedzę kilka godzin w nocy! Nic mi się nie stanie.

Ani się spostrzegł, gdy wybiła godzina piąta.

— O, tak późno już! Szkoda! Tak mi się dobrze pisało! Ale lekcje jeszcze nieodrobione!

Nagle ogarnęła go wielka senność: natura upominała się o swoje prawa. Pierwszy raz od czasu, gdy zaczął chodzić do szkoły, przebiegła mu przez głowę myśl, że można przecież lekcji nie odrabiać.

— Jutro napewno nie będę pytany, a zadań nie każą mi nigdy pokazywać. Raz jeden można nie zrobić!

Jednak przyzwyczajenie lat kilku stało się jakby naturą: nie potrafił pójść do szkoły, mając nieodrobione lekcje. Sięgnął więc po zeszyty i szybko począł pisać.

Czyściuteńki zeszyt, zapisany prześlicznie tak, że aż oczy się radowały, gdy nań było spojrzeć, dziwił się zapewne niemało, poczuwszy na sobie niecierpliwą, śpieszącą się rękę.

— No, no! — mruknąłby zapewne, gdyby ujrzał tę ostatnią stronę, tak bardzo różniącą się od innych.

Ale Zygmunt myślał w tej chwili o tym tylko, by skończyć jak najprędzej i przespać się nieco.

— Bodaj godzinkę! — myślał sobie, rzucając się na łóżko w ubraniu.

Do szkoły miał dość daleko, a że skończył mu się abonament na bilety tramwajowe, a nowego nie miał za co kupić, musiał wstawać wcześniej, by się nie spóźnić na lekcje.

Tego ranka Agnieszka ledwie mogła go dobudzić.

— Późno już, paniczu! Proszę wstawać! — wołała, targając go za rękę.

— Co? Jak? Gdzie? — zerwał się nieprzytomny, wodząc błędnie zaspanemi oczami.

— Matko Najświętsza! Toć nigdy tego nie było, żeby panicz budził się tak późno.

Zygmunt już oprzytomniał. Jednym skokiem znalazł się przy miednicy, a obmywszy się porządnie zimną wodą, stał się odrazu rzeźkim.

Spiesznie się ubrał, spiesznie zjadł śniadanie. Nie mógł się powstrzymać, by nie rzucić okiem na swą robotę nocną.

— Po obiedzie dokończę, a wieczorem będę już mógł odnieść i dostanę nową! — mruknął z zadowoleniem.

Do szkoły wpadł w ostatniej chwili, przed samym dzwonkiem, zgrzany, zaczerwieniony. Michaś siedział już na swojem miejscu, a koło niego, jak zwykle, gromadka chłopców.

Zygmunt rzucił nań przelotne spojrzenie.

— Jest już zdrów! Jak to dobrze! Zarumieniony taki, wesoły! — myślał sobie, lecz na chwilę żal jakiś ścisnął mu serce, ale go wnet przemógł.

— Lepiej, że z nim nie mówię! Z boku stojąc, łatwiej mogę coś nie coś dla niego zrobić! — tłómaczył sobie.

Zygmuntowi nie wiodło się jakoś dzisiaj w szkole: był roztargniony, nieuważny, a przytem senny. Czuł, że chwilami powieki wbrew jego woli opadają i ledwie, ledwie mógł się opanować, by nie zasnąć.

Jeden z profesorów zrobił mu uwagę, co się zdarzyło po raz pierwszy od czasu, gdy był w szkole.

Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu; Witold nie ukrywał ironicznego uśmiechu, a w spojrzeniu Michasia zatliły iskierki tryumfu.

Szczęśliwy zbieg okoliczności odwrócił jednak od niego uwagę kolegów, bo oto z szarego, ponurego nieba padać zaczęły nagle wielkie białe płaty, zrazu pojedyńczo, w niewielkiej ilości, potem zawirowały chmurą białą i w chwil kilka pokryły wszystko srebrzysto-białą oponą.

— Śnieg! Śnieg! Pierwszy śnieg! — zabrzmiały okrzyki.

Z radosnym gwarem wysypała się gromada chłopców na podwórze szkolne. Pierwszy śnieg — to zawsze mała uroczystość w życiu ucznia! Zapowiada on koniec przejściowej pory, w której znikły już bez śladu powaby lata, a nie zawitał jeszcze specjalny czar zimy.

— Teraz już i ślizgawka za pasem! — mówił któryś z chłopców.

— Ach, ślizgawka, ślizgawka! To dopiero przyjemność!

— Ślizgasz się, naturalnie?—pytano Michasia.

— Ależ tak! — odparł wesoło pytany, lecz nagle zasępił się: przypomniał sobie, że nie miał łyżew, no i buciki trochę za cienkie do łyżew.

— Tylko nie wiem, czy mi doktór pozwoli! — starał się tłumaczyć na wszelki wypadek.

— O, pozwoli! Przecież to jedna z najzdrowszych rozrywek. Będziemy chodzić razem, dobrze?

I posypały się projekty, układy, propozycje.

— Jak tak popada przez noc, będzie jutro sanna!

— Wyśmienicie! Sanna, wiwat sanna!

* *
*

Nie udało się Zygmuntowi skończyć przepisywania po obiedzie. Okazało się, że jest tego jeszcze i na wieczór, i na noc. Chłopca ogarnęła istna gorączka: pisał, nie odrywając niemal ręki od papieru, na kilka chwil tylko wstając, by przyjąć jakiś posiłek.

(D. c. n.)

WRÓCĘ.

— Józiek, a wypędź-no krowy! Przynieś wody, próżniaku!.. A zamieć podwórko! Jadłbyś za dwóch, a pracować to ci się nie chce...

Od wczesnego rana do wieczora Kołaczowa woła na chłopca, a Józiek-sierota pracuje, pracuje cicho, chętnie, bez skargi, za dach nad głową, za miskę strawy, za lichy przyodziewek.

Teraz krótka chwila odpoczynku. Ciepły mrok letni zwolna opada na ziemię. W powietrzu drży cisza. Czasem krowa zaryczy, żóraw zaskrzypi, pies szczeknie— i znów cicho.

Józiek położył się na trawie pod brogiem koniczyny. Myśli chłopca snują się długą, szarą nicią. Rok miał, gdy ojciec go osierocił, a parę miesięcy temu matka zostawiła go samego na świecie. Umierając, prosiła Kołaczów, aby się zaopiekowali jej synem.

Gospodarz, człowiek litościwy, wziął chłopca do służby, i gospodyni też niezłą była kobietą, lecz sama ogromnie pracowita, kazała często Jóźkowi pracować nad siły, a nawet nierzadko padały bolesne razy na plecy sieroty. Myśli Jóźka snują się wolno, szare, smutne, ciche... Mrok coraz gęstszy. Gwiazdy złociście mrugają na ciemnym niebie. Jak cicho!.

Jóźkowi oczy się kleją.

Co to?... Miedzą przez pola idzie ojciec z matką. Idą w złocie słonecznych promieni, uśmiechnięci, tacy kochani, jedyni..

Józiek zrywa się z pod broga. A oni radośnie wołają:

— Chodź, synku, chodź z nami do roboty!

A po podwórzu rozlega się krzykliwy głos gospodyni:

— Józiek, gdzieś ty?!... Jó-ó-ziek!...

Ale on nie słyszy. Co go tam zresztą obchodzi wołanie Kołaczowej! Biegnie do rodziców. Matka go wypytuje o wszystko troskliwie, a ojciec gładzi mu ciemną czuprynę.

Boże, jak mu dobrze!

Nagle na śpiącego chłopca padają bolesne, ciężkie uderzenia kijem. Józiek obudzony nie wie, co się stało; czuje tylko ból, lecz nie krzyczy, nie płacze, leży bez ruchu, a kij w ręku gospodyni bije, bije...

— A do roboty, słyszysz? Wstawaj! Przynieś wody i drew narąb!.. Wstawaj!...

Gospodyni, wzburzona, rzuciła kij i poszła zamknąć oborę. A Józiek skoczył, jak kot, i miedzą uciekł w pole.

Potyka się o brózdy, o kamienie. Czasem kłos go muśnie po twarzy, jakby chciał go zatrzymać, to gałąź starej gruszy uderzy go w czoło, lecz on na nic nie zważa, biegnie, jak wicher, aby tylko dalej od Kołaczów. Chłopiec zmęczony zwolnił biegu.

— Pójdę w świat, w świat—myśli Józiek—a tam u nich nie będę... Nie ścierpię tego dłużej... W polu przenocuję —

przecież się nie boję — czegóż mam się bać? A raniutko pójdę... dokąd?.. Do So-

Józiek odważnie spojrzał przed siebie. Lecz nagle poczuł się tak samotnym, tak



.... Co to? Miedzą, przez pola, idzie ojciec z matką...

snowej, tam jest dobra dziedziczka. Nie! pójdę do proboszcza, on taki łaskawy, miłosierny... Coś mi poradzi... Może odda mię do służby... Nie zginę!..

opuszczonym na tym ogromnym świecie, że zaczął z płaczem wołać:

— „Mamo! mamo!..." Drobnem jego ciałem wstrząsało przejmujące zimno; roz-

palone czoło obejmował dłońmi, lecz szedł dalej... A dokoła szeptało coś, szumiało, gwarzyło... A wśród tych brzmień nocy Jóźkowi zdało się, że słyszy słowa matczyne:

— Synku, a złości w sercu do nikogo nie miej, a krzywdy przebaczaj...

Chłopiec stanął, zapatrzył się w gwiazdy i zasłuchał się w te słowa, które, jak słodka melodja, dźwięczały mu w duszy, i szepnął:

— Wrócę!...

Po chwili miedzą przez pola biegł do chaty Kołaczów.

M. Chełmońska.

DZWONY.

Ciąg dalszy.

W Hiszpanji, gdzie pod panowaniem Arabów można było swobodnie wyznawać swoją wiarę, dzwony zwoływały wiernych na nabożeństwa; niewierni bardzo się z tego wyśmiewali i szydzili.

Z początku dzwony wogóle były niewielkie i przenośne; „tintinnabula", gdziekolwiek zostały zawieszone, tam spełniały swoją czynność, ale później, gdy zaczęto robić dzwony większe i okazała się konieczność użycia nie jednego, ale dwóch lub więcej dzwonów, trzeba było pomyśleć o osobnem dla nich pomieszczeniu. Datuje się to od początku IX wieku, gdy już wszędzie po kościołach chrześcijańskich były w użyciu duże dzwony.

Zwykle przy świątyniach znajduje się kilka dzwonów różnej wielkości i siły głosu.

Według synodu warmińskiego 1610 r. postanowione było, aby kościoły zakonne miały po jednym tylko dzwonie, i to średniej wielkości; dzwonić powinien sam sługa kościelny, żony używać do zastępstwa w żadnym razie nie może, a jeśli to uczyni, traci służbę.

Najwięcej dużych dzwonów jest w Rosji, bo też tam jest i najwięcej świątyń (cerkwi) i najczęściej a najdłużej dzwonią.

Największym, podobno, na całym świecie był dzwon „Car" w Moskwie na Kremlu, ważył on 4,320 centnarów, a głos miał piękny i donośny, ale podczas wielkiego pożaru spadł i zarył się w ziemię, pęknięty też jest i wyszczerbiony, co, jak mówią, wynikło z dostania się zimnej wody przy gaszeniu ognia na rozpalony metal.

I w obecnych czasach największy dzwon jest w Rosji na wieży Iwana IV w Moskwie, waży 1,000 centnarów, odlany w 1819 roku.

Wielkie dzwony są też w Ołomuńcu, w Wiedniu, w kościele Świętego Stefana (odlany za panowania cesarza Józefa I-go), w Paryżu, przy katedrze Notre-Dame, w Rzymie, w kościele Świętego Piotra.

W Niemczech jest dużo starożytnych, wielkich dzwonów, największy ma być w katedrze kolońskiej; w Szwajcarji największy dzwon jest w Bernie; są też duże ładne i oryginalne dzwony w Belgji i Holandji. Bardzo oryginalny dzwon znajduje się w mieście Upsali w Szwecji.

W Salzburgu są tak ładne dzwony i tak urządzone dzwonienie, iż wytwarza się piękna melodja; dla usłyszenia tej tak zwanej „gry dzwonów", („Glockenspiel"), przejezdni umyślnie zatrzymują się w Salzburgu, czasami nawet dlatego tylko do tego miasta przyjeżdżają. Taką grę dzwonów można też słyszeć w Antwerpji, w Bruges, w Kassel i w innych miastach. *)

U nas, w Polsce, poczytują za najdawniejszy duży dzwon w Czersku w gubernji warszawskiej; ma on być zabytkiem z XI wieku.

Dzwon Świętego Jura we Lwowie jest też bardzo dawny, choć data jego odlania nie jest ściśle oznaczona.

Największy jest dzwon „Zygmunt" w Krakowie na Wawelu, odlany za panowania Zygmunta Starego i na cześć tego króla jego imieniem nazwany 1520 roku. Ma on 24 stopy obwodu, a pokryty jest pięknemi płaskorzeźbami. Do poruszania go potrzeba ośmiu ludzi. Na wieży wikaryjskiej są trzy dzwony: „Maciek" „Nowy" i „Gąsiorek", ogólnie zwane one „srebrnemi", gdyż mają w sobie podobno domieszkę srebra dla dźwięczności. Najpiękniejszy jednak głos, poważny i wzruszający, wydaje „Zygmunt".

Duże dzwony są obecnie sprowadzone do Częstochowy do klasztoru Jasnogórskiego.

Dzwony robiono z różnych metalów; ogromny dzwon w Kolonji „Saufang" z VI w. zrobiony był z blach żelaznych, zbitych ze sobą gwoździami; w VIII wieku lano już dzwony z miedzi, a nawet ze srebra; obecnie metalem, używanym na dzwony, jest spiż, t. j. stop miedzi i cyny.

D. c. n.

*) Tony dzwonów dają się zużytkować muzycznie: przyrządy muzyczne, złożone z dzwonów różnej wielkości, wydają tony, obejmujące od 5-ciu do 6-ciu oktaw; dzwony takie wprawiają się w drganie za pomocą pedałów.

Praktyczne wskazówki. *)

Atrament na podłodze pocierać tak długo na pół przekrajaną cytryną, dopóki plama nie zniknie. W czasie wycierania przemywać plamę po kilka razy wrzącą wodą z mydłem.

Atrament na bieliźnie namoczyć na 1—2 dni w surowem słodkiem mleku. Gdyby plama w ciągu tego czasu nie znikła, moczyć ją jeszcze dłużej, a potem całość uprać zwyczajnym sposobem.

Atrament na białym materjale natrzeć dojrzałemi pomidorami. Plama zginie i materjału nie uszkodzi, co ma nieraz miejsce przy użyciu mocnych soli.

Atrament na materjałach, wełnach i bawełnach da się usunąć przez nacieranie terpentyną.

Atrament przy pisaniu nie będzie plamić palców, gdy przy tej czynności dobierze się kałamarz nizki z szerokim otworem i nie pod sam wierzch płynem napełniony. Obsadka nie powinna być grubsza od zwyczajnego ołówka.

Atrament zaschnięty w kałamarzu nalać łyżką mocnego octu, dodawszy łyżeczkę soli kuchennej, i wszystko dobrze patyczkiem wymieszać.

*) 600 rad i doświadczeń: «Książki dla Wszystkich».

„O własnych siłach“.

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez Rózię A.

—o—

Z następujących sylab ułożyć 13 wyrazów, których środkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko poety polskiego.

Sylaby; jar, da, nit, be, ła, ka, żół, sój, ja, bes, ka, sła, bo, pu, li, gwi, wi, kre, kiew, me, kas, ło, har, ce, bel, le, na, ne, lo, mon, cyn, sa.

Znaczenie wyrazów:

1. Ptak błotny.
2. Król żydowski.
3. Instrument muzyczny.
4. Kraj w Afryce.
5. Wyspa w Azji.
6. Bogini wojny u Rzymian.
7. Nazwa mnicha.
8. Ptak.
9. Minerał.
10. Szlachcic u słowian wschodnich.
11. Rzeka w Europie.
12. Miasto w Galicji.
13. Materja wybuchowa.

SZARADA

ułożona przez «Białego Orlika».

Pierwsze wspak, nie ryba, a w wodzie.
Drugie —małe dziecko mówi na odchodzie.
Trzecie — mówiących do siebie ludzi
usłyszycie,
Wszystko — na mapie wśród gór
zobaczycie.

Łamigłówka sylabowa

Z następujących sylab ułożyć 12 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko francuskiego autora dzieł dla młodzieży.

Sylaby:. u, jus, u, wiec, zo, ward, cho, lo, ty, je, so, da, ed, ne, e, njan, do, ry, wa, fja, ro, ron, cho, mi, wo, grant, dan.

Znaczenie wyrazów:

1. Miasto w Palestynie.
2. Samogłoska.
3. Inaczej gleczer.
4. Cesarz bizantyjski.
5. Część ciała.
6. Ptak.
7. Imię żeńskie.
8. Płyn.
9. Imię męskie.
10. Rzeka we Francji.
11. Cesarz rzymski.
12. Inaczej wychodźca.

GAWĘDKA LISTOWNA.

Do wszystkich. Otrzymuję wiele listów bez podpisu. Na te, naturalnie, odpowiadać nie mogę. Bardzo usilnie proszę o trochę więcej uwagi: podpis i data powinny być na każdym liście!

Wacia D. łamigłówkę nie umieszczę, gdyż jest zbyt łatwą dla czytelników «Naszego Świata».

122 i ski łamigłówki nie umieszczę, gdyż brak w niej sylab. A szkoda, bo łamigłówka dość zajmująca.

Sportsmenowi z Kijowa. Korespondować z redakcją i brać udział w konkursach mogą wszyscy czytelnicy «Naszego Świata».

Faunowi bez rożków. Próba poetycka nie będzie umieszczoną. Jeżeli Faun ma łatwość

wierszowania, niech na początek bierze tematy łatwiejsze. Pożar Rzymu! Ho, ho! Nie lada talentu i siły potrzeba, by to oddać należycie! Czekam na dalsze próby.

Jadzi i Anusi Sz. z ul. Chłodnej łamigłówkę umieszczę. Świeżo wyszła prześliczna książka o skautach p. t. «Patrol beskidcki» Bohdana Dyakowskiego. Ostatnią łamigłówkę umieszczę niedługo, by wam wynagrodzić długie oczekiwania na pierwszą.

Króla puszczy łamigłówkę umieszczę.

Grom'a jedną łamigłówkę umieszczę. Wiersz nie nadaje się do druku. Brak w nim rytmu, a chwilami są i błędy językowe. I dlaczego ton tak bardzo pesymistyczny? Bardzo wdzięcznie wypadł szafirowy kwiat na końcu listu! Dziękuję!

Sewerki U. z Podwala łamigłówkę umieszczę.

Ptaszka Ołowianego łamigłówka jest zbyt łatwa dla czytelników «Naszego Świata».

Fauna. Redaktorce miło jest słyszeć, że jej utwory tak bardzo podobają się czytelnikom «Pamiętnika Stacha» drukować «Nasz Świat» nie może, gdyż powieść ta wyszła już w książce. Gawędkę umieszcza się rzadziej dla tego, że najczęściej już na nią brak miejsca. Szaradę Fauna umieszczę. Łamigłówki i wiersza nie. Pierwsza jest zbyt łatwą, druga - nieco utyka w rytmie!

Mirjama jedną łamigłówkę umieszczę. Pseudonim bardzo ładny!

Xyz'a figli nie umieszczę, gdyż nie są trafnie obmyślone.

Leona P. z Michówka łamigłówkę umieszczę.

Myszki z nad Newy łamigłówka jest zbyt łatwa dla czytelników «Naszego Świata».

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 21-go nadesłał Biały Orlik.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 22-go nadesłali: Nenufar i Wróbelek, Biały Orlik.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 23-go nadesłali: Nenufar i Wróbelek, Biały Orlik.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 24-go nadesłali: Telesfor Puma z ul. Wilczej, Biały Orlik

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 21.

1. Weterynarz
2. Adelajda
3. Leniwiec
4. Eukaliptusy
5. Ryś
6. Yak
7. Portugalja
8. Roman
9. Zefir
10. Y
11. Botanika
12. Orzeł
13. Róża
14. Opole
15. Winnipeg
16. Szalej
17. Kościuszko
18. Igła

W a l e r y P r z y b o r o w s k i.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 21.

1. Niagara
2. Apollo
3. Demostenes
4. Nida
5. Iwonicz
6. Elsinoe
7. Maksymiljan
8. Neapol
9. Ezop
10. Mazepa

N a d N i e m n e m.

Do numeru dzisiejszego (26) dołącza się bezpłatny dodatek książkowy p. t. **„Córka wodza"** tom 3-gi za miesiąc Czerwiec.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Warunki prenumeraty

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 4 —	rb. 5 kop. —
Półrocznie	„ 2 —	„ 2 „ 50
Kwartalnie	„ 1 —	„ 1 „ 25

Za granicą rocznie rb. 5 kop. 50

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.

Adres Administracji — Nowy-Świat 53.
Adres Redakcji — Ordynacka 8 m. 7.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: **Marja Buyno-Arctowa.** Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3.